NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata wynosi: Kwartalnie 4 kor. — 4·25 Mrk. — 1 Rbs. 80 kop. z przesyłką pocztową 2 Rbs. 60 kop. Półrocznie 8 kor. — 8·50 Mrk. — 2 Rbs. 60 kop., z przesyłką pocztową 5 Rbs. 20 kop. Rocznie 16 kor. — 17 Mrk. — 7 Rbs. 20 kop., z przesyłką pocztową 10 Rbs. 40 kop.
W Ameryce: Półrocznie 2 dol. 25 cts — Rocznie 4 dol. 50 cts.
Zmiana adresu kosztuje 40 hal.
Ceny ogłoszeń: za wiersz jednoszpaltowy petitowy 20 halerzy — na ostatniej stronie lub w miejscu specyalnie zastrzeżonem 28 halerzy.

Wychodzi każdej soboty.
REDAKCYA i ADMINISTRACYA: KRAKÓW XV. ulica Kazimierza Wielkiego L. 95 (dom własny).
Telefon Nr. 479.
Naczelny redaktor: Sylweryusz Chmurkowski.

Główny skład na Królestwo Polskie: W. Biernacki i Spółka w Warszawie, Krakowskie Przedmieście 6.
Prenumeratę przyjmuje W. Biernacki i Spółka w Warszawie, Krakowskie Przedmieście 6, telefon Nr. 507—23, oraz wszystkie księgarnie tak w Warszawie jak i na prowincyi. — Ceny ogłoszeń na Królestwo Polskie: za wiersz jednoszpaltowy pod tekstem 50 kop. — na ostatniej stronie i w miejscu specyalnie zastrzeżonem 15 kop. — ogłoszenia zwykłe 10 kop.
Wyłączne zastępstwo na Lwów: KAROL BUCHSTAB, Biuro dzienników — Lwów, ul. Karola Ludwika 21.
Numer pojedynczy 32 halerzy — 15 kop. — 32 fen.

Rok XI. Kraków, 5 września 1914. Nr. 36.

Bitwa pod Kraśnikiem.



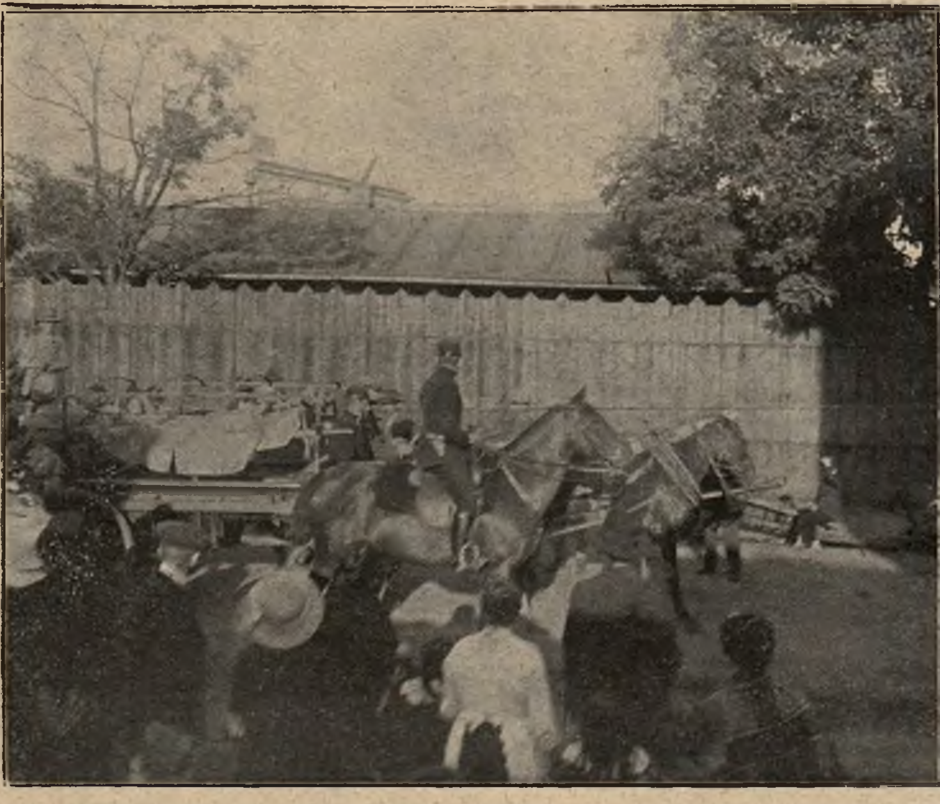
Ranni jeńcy rosyjscy przed szpitalem w Domu Akademickim w Krakowie.

Treść numeru: Legiony polskie. — Jeńcy rosyjscy w Galicyi. — Ne teatrze wojny europejskiej.

Bitwa pod Kraśnikiem.

Na prastarych ziemiach Polski, skropionych tylokrotnie krwią naszych rycerzy, odpierających nawałę szwedzką, aż do ostatnich walk roku 1831 i łzami ciemiężonych ofiar poprzez wiek niewoli i prześladowań — rozegrała się w tych dniach wielka bitwa, gdzie chmurę rosyjską rozdarł i przepędził nasz oręż. Walne to zwycięstwo armii austryackiej w lubelskiem pod Kraśnikiem wykazało, na jak spróchniałych podstawach opierał się préstige molocha rosyjskiego i jego wojska, niewytrzymującego planowej akcyi i bijącego się bez ducha. Dalej też na rozległym obszarze od Wieprza do Bugu zostali Moskale pobici na głowę, pierzchając w popłochu. Ofenzywa wojska austryackiego, prowadzona pod Kraśnikiem przez generała kawaleryi Wiktora Dangla, a podjęta w warunkach dość niekorzystnych, po trzydniowej walce uwieńczona została wspaniałym sukcesem. Zwyciężył tam zapał i sprawność wojsk, ale głównie bohaterskie ataki naszej piechoty, wyrywającej nieprzyjacielowi pozycye po pozycyach i biorącej tysiącami jeńców, działa, komendantów i t. d. Uwierzyć wprost trudno w tę dziwną depresyę wojska rosyjskiego, upadek ducha i demoralizacyę; masami poddają się oddziały, nie wystrzelawszy nawet pierwszych porcyj nabojów. Po pierwszej ostrej walce pod Kraśnikiem w dalszych obrona rosyjska nie użyła nawet całego materyału ludzkiego, obsadzając dość słabo szańce na wyżynach Niedzica Duża i innych. Wytrzymały żołnierz rosyjski walczy mężnie dopiero przy obronie i przyparty do muru, w ataku idzie bojaźliwie, a kierownictwo zdradza brak inicyatywy i wszelkiego planu. Węgierskie biuro korespondencyjne doniosło rozmowę swego redaktora z pewnym jeńcem z pod Kraśnika, kapitanem rosyjskim.

W czasie przewożenia przez Budapeszt do Komorna oficerowie-jeńcy, wśród nich jeden podpułkownik, jechali w coupé II. klasy. Pewien kapitan 69 pułku piechoty rosyjskiej opowiadał, że został wzięty do niewoli podczas bitwy pod Kraśnikiem, gdzie wojska austryackie, także jego zdaniem, odniosły świetne zwycięstwo. Granaty artyleryi austryackiej czyniły wśród Rosyan straszne spustoszenie. Z kolumny, którą dowodził kapitan, pozostało tylko dziesięciu ludzi. — Dla nas bitwa pod Kraśnikiem tem milszem odbiła się echem, że tam odznaczyły się „dzieci krakowskie", 13 pułk piechoty. Ich nieustraszone ataki na bagnety i celne strzały szerzyły popłoch wśród szeregów moskiew-




Bitwa pod Kraśnikiem: Przewożenie ciężko rannych z dworca kolejowego do szpitali krakowskich.



Bitwa pod Kraśnikiem: Polacy z wojska rosyjskiego, ranieni i wzięci do niewoli pod Kraśnikiem, w sali szpitalnej Uniwersytetu.



Jeńcy rosyjscy w Galicyi: Po opatrzeniu w Krakowie, jeńcy jadą w głąb monarchii.

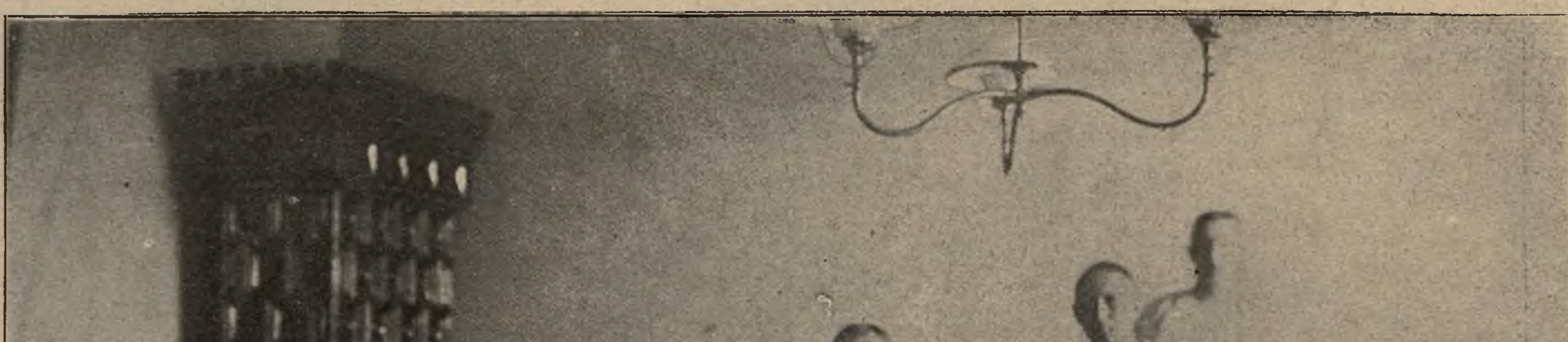
skich. Najwyższe pochwały sztabu oraz pojmanych jeńców okryły „trzynastaków“ chwałą. Animusz pchał ich nieraz za daleko i stąd pochodzą liczne straty, jakie pułk poniósł. Oficerowie świecili żołnierzom pięknym przykładem, walcząc na czele przed kompaniami. „Trzynastka“ przeszła chlubnie chrzest krwi, a liczni ranni, jacy leczą się obecnie w szpitalach krakowskich, dowodzą, że „krakowskie dzieci“ — to zuchy i idą z zapałem na Moskala. Szczęść im Boże!

Informatorzy Krakowa.

Wojna wytwarza dużo sprzeczności, paradoksów faktycznych. Tak n. p. rzecz się ma podczas wojny z wiadomościami ze świata. Nigdy ludzie nie są tak tych wiadomości spragnieni, jak czasu wojny. Tymczasem w czasie wojny jest o nie niezmiernie trudno. Stają koleje, nie funkcyonują poczty, komunikacya z zagranicą przerwana — słowem wszystkie źródła nowości zatamowane. Prasa i publiczność mogliby być w rozpaczy.

Jednakże organizacya wojenna objęła już także i dostarczanie informacyj. Urzędowe biura korespondencyjne zorganizowały dostarczanie informacyj, zarówno o wypadkach wojennych, jak o wszystkich zdarzeniach ze świata. W Krakowie taką rolę dla całej zachodniej Galicyi spełnia krakowska filia wiedeńskiego biura korespondencyjnego. Jest to teraz nasz jedyny łącznik ze światem. To też wre tam praca dniem i nocą, bo każda chwila przynosi jakiś epizod mniejszej wagi, a czasem wieść o wielkiem zdarzeniu wojennem lub dyplomatycznem. Dopiero z biura tego dostają się depesze do redakcyj dzienników, które podają je publiczności. Jest więc filia biura korespondencyjnego niejako uchem całego Krakowa, przez które Kraków słucha, co się na placach boju i na szerokim świecie dzieje. Naczelnikiem biura krakowskiego jest główny redaktor Nennel, a redaktorami: pp. Kropaczek, Irzykowski i Karcz.

Nasze zdjęcie przedstawia ubikacye biura i redaktorów jego przy pracy.



Bitwa pod Kraśnikiem: Sala Uniwersytetu z rannymi z pod Kraśnika. Pośrodku lekarz szpitala w Collegium Novum dr. Löwy.



Jeńcy rosyjscy w Galicyi: Transport rannych jeńców rosyjskich przed Domem Akademickim w Krakowie



Legiony polskie: Trzecia kompania Strzelców na dziedzińcu „Nowości Illustrowanych". (X) Komendant, dziennikarz krakowski p. M. Wierzchowski.

Artur Gruszecki.

Po ślubie.

12

— Nie mam zamiaru, ale na przypadek...

Skibowski spojrzał baczniej na niego, na panie, może coś zmiarkował, bo spytał:

— Czy państwo razem jedziecie?

— Nie! — odpowiedział stanowczo Bachmacki, — te panie jadą w góry z polecenia lekarza... przypuszczalnie przyjadą do nich ich mężowie.

— Hm... tak? — spojrzał podejrzliwie, — właściwie, poco panie jadą do Grotowa? W żadne choroby pań uwierzyć nie mogę, bo wyglądacie jak samo zdrowie, więc w jakim celu ten wyjazd?

— Pozory mylą, — powiedziała Natalcia — i doktór zalecił nam wyjazd.

— Że nie do Grotowa, jestem pewny, — zaśmiał się, — paniom uśmiecha się zabawa, muzyka, tańce, towarzystwo przyjemnych ludzi, a tego nic a nic niema w Grotowie, ani kasyna, ani kawiarni, ani restauracyi.

— A cóż tam robią ludzie? — zdziwiła się Natalcia.

— Panuje zupełna swoboda, — zaśmiał się, — każdy tak żyje, jak mu się podoba. Chce ktoś użyć samotności, nie potrzebuje znać się z nikim, a woli towarzystwo, znajdzie sympatycznych. I jak zwykle, ludzie się kochają, nie lubią, plotkują i używają spacerów.

— Dalekich? — spytała Romcia.

— Do Kościeliskiej Doliny, do Chochołowskiej, do Zakopanego, do Orawy... gdzie kto chce.

— Ostatecznie spacery się znudzą, — zauważył Bachmacki.

— Może pan używać sportu.

— Jakiego? — spytała Natalcia, która widziała u krawcowej suknię sportową i była pewna, że będzie jej bardzo dobrze w tego rodzaju kostumie.

— Są lasy i można polować.

— Ach, to mój mąż jest amatorem polowania, — powiedziała Romcia.

— Są ryby, pstrągi w rzece, i kto lubi, może się zajmować rybołowstwem.

— Mój mąż trochę lubi, — rzekła Natalcia, — ale mąż Stasi, pan Orszycki, przepada za tą rozrywką.

— Często bywają turyści, taternicy, botanicy, lingwiści... jednem słowem zupełna swoboda, zajęcia.

— To panowie, — zauważyła Natalcia, — no, a panie?

— Panie?... Młode prawdopodobnie się kochają, stroją, jeżdżą... inne modlą się, plotkują, pilnują mężów, dzieci, gospodarstwa...

— A tennis? Takie są zgrabne sukienki do tej gry.

— Nic nie wiem o tennisie... ale można chodzić na grzyby.

— Na grzyby? — zawołała Romcia ucieszona, — uczyłam się kiedyś wierszy o grzybobraniu, to było ładne, nawet trochę pamiętam.

— Zapewne o Telimenie, — podpowiedział Skibowski.

— Tak! Tak!... Tam była Telimena, — mówiła uradowana przypomnieniem i swą pamięcią, — pan zna te wierszyki.

Bachmacki, chcąc ratować nieuctwo Romci, rzekł z uśmiechem:

— Pani Romano, niech pani nie żartuje, wszyscy znamy Pana Tadeusza.

— Pana Tadeusza, którego? — spytała z całą naiwnością Natalcia.

— Ależ Mickiewicza, — oburzył się Bachmacki.

— A pani myślała o ładnym chłopcu, — śmiał się Skibowski.

— To nie... ale... — zaczerwieniła się.

— Nie ma pani czego się wstydzić, — uśmiechnął się Skibowski, — radość życia jest więcej warta od radości książki.

Bachmacki, chcąc przerwać tę literacką rozmowę, spytał:

— A życie w Grotowie na ogół drogie?

— To zależy... Nas było cztery osoby i żona wydawała dziennie cztery korony, czasem mniej, czasem więcej.

— Tego lata będzie pan w Grotowie?

— Prawdopodobnie... i jeśli pani, — zwrócił się do Romci, — nie znajdzie przyjemniejszego towarzystwa, służę pani pomocą przy zbieraniu grzybów.

— Dziękuję panu... ale ja wolę sama, — zarumieniła się.

— Sama? Pani! W tych lasach i borach są niedźwiedzie, wilki, rysie, dziki, trzeba koniecznie mieć obrońcę, chyba że pani sama strzela celnie.

Ach, nie! Ja się boję strzału, — zawołała szczerze, — taki huk!

— A jednak mąż myśliwy! — śmiał się.

— Ale w polu, nie w domu.

— Czasem i w mieście, — zaśmiał się Bachmacki.

— Chyba na budowie, — uśmiechnęła się.

Garson podał spis potraw i czekał zleceń. Panie wybrały kurczęta i szparagi. Skibowski odmówił, gdyż na sali zostawił swe towarzystwo.

Wszedł Niedzicki, spojrzał na nieznanego mu Skibowskiego, ale sądząc, że jest to przyjaciel Bachmackiego, skoro zaprosił go do gabinetu, nie zważał na niego i całując kilkakrotnie rękę Natalci mówił:

— Spieszyłem na łeb na szyję, dowiedziawszy się, że pani tutaj, ale w drodze złapał mnie mąż pani i zamęczał mnie pytaniami, gdzie jadę na urlop. Bredziłem przed nim jak w gorączce, uwierzył, że jadę do Ostendy, — śmiał się.

Bachmacki z uśmiechem złośliwym przysłuchiwał się tym wynurzeniom, a Natalcia napróżno chciała mu przerwać płynne opowiadanie. Dopiero gdy skończył, powiedziała niezręcznie:

— Dlaczego pan zwraca się z tem tylko do mnie... jest tu przecież Romcia i panowie.

Spostrzegł Niedzicki swój błąd i szybko mówił:

— Dlatego pani opowiadałem, gdyż przyrzekłem panu Szabelskiemu odprowadzić panią do domu.

Teraz dopiero Bachmacki zaznajomił panów, dodając do nazwiska Skibowskiego:

— Nasz łaskawy informator o Grotowie.

Niedzickiego to dotknęło, chciał bowiem uchodzić w oczach Natalci za znającego się na wszystkiem, i rzekł żartobliwie:

— Dużo o tej dziurze nie można powiedzieć, nieprawdaż panie? to jedno dobre, że niema tam depesz, telefonów, niespodzianych wizyt i przyjazdów.

— Jeśli panu na tem zależy, to muszę rozwiać miłe nadzieje, — odpowiedział dość chłodno, — bo łatwiej w takiem Zakopanem uprzedzić kogoś o niemiłej wizycie, aniżeli w Grotowie... Miło mi było usłużyć paniom, — wstał z krzesła, — a teraz pozwolą panie, że je pożegnam.

Dla formy proszono go, ażeby został, ale wymówił się oczekującem go towarzystwem i wyszedł.

— Co to za ananas? — spytał kwaśno Niedzicki, — i dlaczego mówił o niemiłej wizycie?

— Tak sobie, — powiedział lekceważąco Bachmacki, — ot, oryginał, ale dużo nam powiedział o Grotowie.

— I z Romcią wybiera się na grzyby, — powiedziała złośliwie Natalcia.

— Ja mu przecież odmówiłam, — zarumieniła się.

— No, myślę, taki stary, — zaśmiała się Natalcia, — ale wiecie państwo, ten Grotów wcale mi się nie uśmiecha.

— Nieszczególny, to prawda, — przyznał Niedzicki, — ale już go trochę znamy i bądź co bądź, Zakopane pod bokiem, a jeśli mężowie przy bombce piwa wybiorą gorszą dziurę? Sądzę, że lepiej będzie zgodzić się na Grotów i o ile się da, nietylko umożliwić, ale i uprzyjemnić sobie tam pobyt.

— O, pan Lolek zawsze dobrze radzi, — spojrzała na niego mile Natalcia.

— Ach, z taką radą! — wzruszył ramionami Bachmacki, — tak czy siak, nie mamy innego wyboru tylko Grotów, ale idzie o to, co jeść? gdzie jeść? gdzie spać?... Trzeba przyznać, że ci piwosze z pod świętego Jana obrali wieś idealną, ażeby zapewnić wściekłe nudy swym żonom.

- Wiecie co? — zawołała nagle Natalcia, — ja was będę stołowała! Otworzę pensyonat i wszystko w porządku.

— Ja zapisuję się na pierwszego pensyonarza, — zaśmiał się Niedzicki, — płacę pięć koron z wiktem i opierunkiem.

— O, bez prania... to kłopotliwe, daję tylko obiady i kolacye.

— Dodaj, pani Natalciu, śniadanie i spanie kątem, już nie wymagam osobnego salonu.

— O, co to, to nie! Szukaj pan sobie pokoju... Możecie panowie razem mieszkać.

— To krępujące ze względu na oczekiwane wizyty, — zaśmiał się Bachmacki.

— No, i z ceny musi pani opuścić, — rzekł Garson wniósł zamówione potrawy, ustawił na stole, odkorkowywał wino, co nie przeszkodziło Natalci spytać:

— A ty, Romciu, ze mną, dobrze?

— Nie wiem... mąż wyszle ze mną Marcinowę, bo jej bardzo ufa...

— Weź mnie pani za stołownika, — zaproponował Bachmacki, — nie będę wymagający i zapłacę, ile pani każe, — patrzał rozczulony na Romcię.

— O, to grzeczny kawaler, — chwaliła Natalcia, — nie taki skąpy, jak ten brzydki Lolek.

— Pana nie będę stołowała, — powiedziała Romcia stanowczo, — coby Marcinowa pomyślała, ale mogę czasami zaprosić.

Natalci podobał się nadzwyczajnie jej pomysł założenia pensyonatu. Szybko obliczyła, że stołując za pięć, a chociażby za cztery korony dziennie, mogłaby w ciągu dwóch miesięcy, mając tylko pięciu stołowników, zarobić ładną sumkę.

A pieniądze były jej bardzo potrzebne, nietylko na suknie letnie, wycieczkowe, sportowe, ale gdy wróci ze wsi, zacznie się sezon jesienny i czekają ją wielkie wydatki.

Od męża nie może żądać większych pieniędzy, bo toby zakwasiło ich życie małżeńskie, i wreszcie mąż może odmówić. Niedzicki zaś dał już dosyć, no i teraz musi dać, bo jakże pokazać się w Grotowie i w Zakopanem bez sportowej sukienki, odpowiednich bucików i kapelusika. A znów niepodobna zbyt dużo wymagać od niego, bo się zniechęci i odsunie.

Pozostaje jej pensyonat. Sam Pan Bóg natchnął ją tą myślą. Niedzicki napewno będzie się stołował, a Bachmackiego ściągnie przez Romcię, której opuści coś z pięciu koron, nawet weźmie trzy, albo dwie korony, bo Romcia może przyciągnąć innych stołowników.

— Jestem zdecydowana założyć pensyonat w Grotowie, — rzekła, — tylko muszę sobie zapewnić stosowne mieszkanie. Czy pan mi pomoże? — spojrzała powłóczysto na Lolka.

— Radbym... ale nie wiem jak, teraz mamy w banku dużo pracy... nie mogę wyjechać..

— Prawda! i ja nie mam mieszkania, — zawołała Romcia, jak gdyby odkryła nieznaną prawdę, — jeśli będą trudności, mąż może się rozmyśleć, i co ja zrobię? — patrzała na Bachmackiego, szukając pomocy.

— Mieszkanie będzie, ręczę, — rzekł Bachmacki tonem stanowczym.

— Mój kochany panie Bolku, i dla mnie! — prosiła Natalcia składając ręce, — cały domek, dobrze? Muszę mieć pokój jadalny dla stołowników.

— Pod warunkiem, — uśmiechnął się Bachmacki, — że pani namówi panią Romcię, ażeby mnie stołowała.

— Zrobię to, przecież Romcia jest moją przyjaciółką.

— Dobrze... teraz idę do Skibowskiego, biorę adresy i dziś napiszę, — wstał i poszedł.

— Ach, jak ja się cieszę z tego pensyonatu, — klasnęła w ręce Natalcia, — to będzie cudownie!

— Czy jednak pomyślała pani, że trzeba będzie dużo talerzy, szklanek, widelców, łyżek...

— Liczę na pana... Do banku przychodzą różni kupcy z wekslami i pan wypożyczy u nich na dwa miesiące, kupować przecież nie mogę, bo straciłabym cały dochód.

— Starać się mogę, ale nie wiem, czy mi się uda?... Dlaczego jednak nie ma pani pożyczyć od znajomych, to będzie łatwiej i taniej.

— Może i tak zrobię... Romciu, czy mogłabyś mi pożyczyć trochę naczynia?

— Zobaczę, muszę się obliczyć.

— Poco masz się obliczać? Zamieszkamy razem i u mnie będziesz się stołowała.

— A co zrobię z Marcinową? A co mąż powie?

— Marcinowa może mi pomagać i otrzyma jedzenie, a z mężem poradzisz sobie, zresztą ja sama z nim pogadam.

— Szkoda, że Marski jedzie z żoną, stołowałby się pewnie u pani, — rzekł Niedzicki popijając wino, — chociaż jeśli jedzie Orszycka, to chętniej jadłby u niej.

— To dziwne, — powiedziała Natalcia, — co on sobie w niej upatrzył? Ani ładna, ani mądra, a ten traci na nią olbrzymie pieniądze.

— A pani skąd wie o tem? — spytał Niedzicki.

— Skąd? Dość spojrzeć na jej strój, na rękawiczki, na pantofelki... Romciu, a widziałaś jej pończochy?

— Nie zwróciłam uwagi.

— Powiadam ci, jedwabne, jak pajęczyna, widać ciało zupełnie... A widziałaś jej książkę do nabożeństwa? Oprawa z kości słoniowej, złocona... musi być droga.

— Już wiem, wszystko w porządku! — z temi słowami wszedł Bachmacki do gabinetu.

— A mój dom? — zawołała Natalcia.

— Może być, ale dwieście koron na sezon.

— Dwieście?! Boże! Tak drogo? Mąż się przerazi. Czy nie może być taniej?

— Skibowski twierdzi, że to nawet tanio.

— Ach, co on wie? — nachmurzyła się.

— Stołownicy zapłacą, — uśmiechnął się Niedzicki.

— No tak! Was dwóch po dziesięć koron, to na miesiąc trzysta, tylko, że trzeba wam dać jeść, a to kosztuje.

Garson zapukał dyskretnie do drzwi i otworzywszy meldował:

— Telefon do pana Niedzickiego.

— A bodaj go! Aż tu mnie znalazł, — wstał niezadowolony od boku Natalci, — przynajmniej tego nie będzie w Grotowie.

Po krótkiej chwili wrócił i rzekł:

— Marski telefonuje... Panowie Szabelski i Winecki poszli już do domu.

Zerwały się obydwie, ubierając się gorączkowo, a Bachmacki spytał:

— Skąd wie o nas Marski?

— Zostawiłem mu wiadomość, gdzie ma nas szukać.

— Jak to dobrze, że dał znać, — rzekła Natalcia, stojąc przy drzwiach.

— To moja zasługa, — uśmiechnął się Niedzicki, — i czekam nagrody od pani.

— Będzie... ale w Grotowie.

VI.

Zbliżał się dzień wyjazdu do Grotowa, na letnie wywczasy.

W tym dopiero czasie miały panie sposobność okazania swych zalet, jako wielce dbałych, gorliwych i przezornych gospodyń i żon.

Naturalnie o dniu wyjazdu, oznaczonym poprzednio za wspólnem porozumieniem, nawet wzmianki nie było, bo tylko mężczyznom, którzy wszystko gotowe do ręki dostają, zdaje się, że i pani domu, żona i matka dzieciom, może tak samo w oznaczony dzień i godzinę wyjechać. Kobieta jednak musi sama wszystkiego pilnować, sprawdzić, obmyśleć, przewidzieć, i to nietylko dla swej osoby, ale dla męża, dla dzieci, dla domu i gospodarstwa.

Wspólny wyjazd na lato wyrównał i wygładził stosunek trzech pań ze sobą, a w szczególności ustały pewne niechęci pomiędzy Natalcią i Stasią.

Przez kilka dni z rzędu spotykały się bądź we dwie, bądź we trzy w umówionem miejscu, albo też przypadkowo, ażeby się naradzić, co kupić i gdzie? Pierwsze miejsce zajmowały ładne i praktyczne suknie, chodziły po sklepach, wybierały, gromadziły próbki, omawiały dodatki, krój sukni, wybór krawcowej i ostatecznie każda kupiła to, co jej się wydało najlepszem bez względu na udzielone i przyjęte rady i namowy.

Następne dni były poświęcone naradom z krawcową, zmianom potrzeb do suki, dodatków, krojów i przymierzaniom, z nieustannym akompaniamentem utyskiwań i żalów, że napewno nie będzie suknia tak wyglądała, jak było umówione i krawcowa nie dotrzyma terminu.

Już w czasie tych gorączkowych zajęć sukniami, mężowie musieli znosić pewne zaniedbania w gospodarstwie domowem, to obiad nie był w oznaczonym czasie, to znów zapomniano o przystawkach potrzebnych, czasem zabrakło pieczywa, albo też pani zapomniała zarządzić kolacyę.

Gdy jako tako uporały się panie z sukniami i z kupnem zapasów w rodzaju tasiemek, sznurowadeł, zatrzasków, nici, bawełny i tym podobnych rzeczy, zaczęło się wielkie pranie, gdyż panu trzeba zostawić wszystko czyste, a ze sobą brudów brać nie można.

W czasie wielkiego prania jest zachowany uświęcony zwyczaj, że członkowie rodziny przywdziewają najstarszą bieliznę, śpi się na ceratowych poszewkach i prześcieradłach, czystą bowiem zapasową bieliznę zostawia się nienaruszoną na wszelki niespodziewany wypadek.

Wprawdzie taki niespodziewany wypadek może się nie zdarzyć w ciągu całego życia, ale zasada pozostaje nienaruszona.

Do wielkiego prania wszyscy mężowie, a więc i Szabelski, Winecki, Orszycki i Merczak są przyzwyczajeni od lat spędzonych u rodziców i wszyscy też mężowie pokornie i łagodnie znoszą niedogodności związane z wielkiem praniem.

Już dniem wprzód zapach przygotowywanej do prania bielizny panuje niepodzielnie w mieszkaniu i hypnotyzuje mężów do mężnego zniesienia operacyi w dniu następnym.

Rano brakuje często gorącej wody, śniadanie bywa opóźnione, kawa gorsza, herbata przeciągnięta. W południe przy zapachu pary wodnej i mydlin obiad bywa skromny i zaoszczędzający pracę kucharki, pomagającej przy wielkiem praniu, i tak samo kolacya.

Po skończeniu prania, gdy bielizna schła, Natalcia i Romcia, jako staranne gospodynie, czyściły i chowały zimowe suknie i ubrania, chroniąc je od molów. Zarządziły również trzepanie mebli. Całe mieszkanie, nie wyjmując saloniku, zamieniło się na skład już oczyszczonych zimowych ubrań i mających się czyścić, a w pokojach zapanowała niepodzielnie przenikliwa woń naftaliny.

Naturalnie, wobec tych nadzwyczajnych porządków, normalny bieg dnia był zakłócony. Pomijając już interesujące narady, które z ubrań męża należy schować i przesypać naftaliną, a które zostawić do użytku, pora jedzenia ulegała rozmaitym wahaniom, a sen poobiedni z powodu naftaliny był ciężki i oszałamiający.

Wprawdzie panowie mieli swobodę ruchu i czasu, nie cieszyli się nią jednakże w tym stopniu, co w zwykłych warunkach, i chodzili jacyś osowiali i przygnębieni. Być może, że nastrój ten wywołały porządki domowe i zapach naftaliny, a może i bezwiedny smutek z powodu blizkiego rozłączenia się z towarzyszkami życia. Posiedzenia też codzienne przy bombie piwa były w tym czasie jakoś ospałe, bez humoru i wesołości. Schodzili się punktualnie z przyzwyczajenia, ale tak przejeci byli porządkami domowymi, wydatkami i odjazdem żon, że nawet sprawy tak żywotne i interesujące zazwyczaj, jak stan zdrowia, trawienie, smak i temperatura piwa nie poruszały ich, to też wdowiec Blum rzekł raz z gniewem:

— Moglibyście już raz pozbyć się waszych żon! Siedzicie jak bankruci po licytacyi, żadnej z was pociechy ani przyjemności.

— Mój prezesie, — odpowiedział z godnością Orszycki, wzdychając ciężko, — gdyby to w mieszkaniu prezesa było takie urwanie głowy, mówiłby inaczej.

— A dlaczego radca pozwalasz na to? Od czego jesteś panem w domu?

— Panie prezesie, — rzekł uroczyście Orszycki, — porządek jest podstawą wszystkiego i jeśli będzie porządek w domu...

— Tak, tak, panie prezesie, — wmieszał się do rozmowy Merczak, — jakiś wielki mąż powiedział: porządek jest duszą życia, bo i coby było, gdyby w naturze nie było porządku? Zapanowałyby trzęsienia ziemi, grady, ulewy, strach pomyśleć.

— Dlaczego mi pan przerywasz? — powiedział z pretensyą Orszycki, — miałem mniej więcej to samo powiedzieć, tylko poważniej.

— Bardzo przepraszam pana radcę, — usprawiedliwiał się Merczak, — to mi się tak wypsnęło, ale może teraz pan radca nam powie:

— Powiedzieć? — namyślał się chwilkę, — kiedy właśnie zapomniałem. Mam to do siebie, że kiedy mi ktoś przerwie, zapominam.

Merczak, poczuwając się do winy, starał się być uprzejmym i spytał ze współczuciem:

— Czy to z przyrodzenia, czy też ze zbytku...

— Powiedz pan. zbytków grzesznych, a zgadłeś, — śmiał się Blum, a za nim inni.

— Ależ nie to chciałem powiedzieć, — bronił się Merczak, — tylko ze zbytku pracy.

— Tak... to ze zbytku pracy, bo ja nie siedzę na kapitałach, — spojrzał na Bluma.

— I nie obcinam kuponów, — zażartował Merczak.

— Wolę kupony, aniżeli gościom poły, — zaśmiał się Blum.

— Ale co to znaczy, że nie przychodzi radca Szabelski, — zauważył Winecki.

— Pewnie zaprzęgła go żona do roboty i poci się, bo dzień gorący, — zaśmiał się Blum.

W tej chwili wszedł Szabelski, kazał dać piwa, usiadł przy stole i chustką ocierał pot z czoła.

— A co, nie mówiłem? — zawołał Blum wesoło, — nie poci się? Cóż napracowałeś się radca?

— O, zmachałem się porządnie, ale nie żałuję tego, wcale nie żałuję, tylko mogę sobie powinszować.

Chłopak przyniósł bombę piwa, a Szabelski wypił więcej niż połowę, odsapnął głośno i otarł wąsy ręką.

— Poznaję, że radca zmęczony, świadczy o tem wypicie bomby, — oznajmił uroczyście Orszycki.

— Powtarzam, że nie żałuję, — rzekł Szabelski z błogim uśmiechem, — robimy doskonały interes.

— Jakto robimy? — spytał Winecki.

— No, jakże mam inaczej powiedzieć, kiedy tego interesu nie robię ja sam, nie robi Natalcia sama, tylko my oboje.

— Cóż to, czy będzie nowy dziedzic? — zaśmiał się Blum.

— Głodnemu chleb na myśli, — rzekł z przekąsem Szabelski, czyniąc przytyk do bezdzietności Bluma, — ja mam już dziedziczkę, ale nie o to idzie... Zważcie panowie dobrze, — poprawił okulary i patrzał badawczo po obecnych, — każdego, kto wysyła żonę na wieś, kosztuje to dosyć pieniędzy... Tak, czy nie?

Orszycki i Merczak skinęli głowami, wzdychając ciężko, a Winecki dodał:

— Poco pytać? Sam wiesz najlepiej, ile taka wyprawa kosztuje.

— Mniej więcej wiem, ile to wynosi, zawsze pachnie kilkuset koronami, i nie przeczę, że wszystkich to kosztuje, ale nie mnie! — podniósł w górę głowę i patrzał tryumfująco na siedzących przy stole.

— Cóż to? Myślisz radca założyć tam na wsi fabryczkę fałszywych pieniędzy? — spytał Blum.

— Mniej więcej zgadłeś prezesie, — uśmiechnął się błogo Szabelski.

— Ciszej! — obejrzał się niespokojnie Orszycki, — ostrożność nie zawadzi, może ktoś niepowołany posłyszeć i kłopot gotowy.

— Co też radca myśli? — śmiał się Szabelski, — taka fabryka pieniędzy jest dozwolona i nie potrzebuje nawet koncesyi.

— Więc powiedz radca nareszcie, co to jest? — przynaglał Blum.

— Zaraz, niech skończę piwo.

— A może radca Szabelski obleje ten doskonały interes, — zaproponował Merczak.

— Pan rad puszcza swą gębę na kwesty, — zadrwił Winecki.

— Może dlatego, że mi żaden składnik nie kupi kieliszka wódki, — odciął się Merczak, robiąc przytyk do stosunków Wineckiego ze składnikami materyałów budowlanych.

— Tak bywa, gdy kto u żydów kupuje materyał, — zaśmiał się Winecki.

— To dotyka mej publicznej godności, — obruszył się Merczak, — ja, jak Boga kocham, materyały sprowadzam bezpośrednio z fabryk, najczęściej angielskich, mogę to udowodnić każdej chwili.

— Dobrze, dobrze, — śmiał się Blum, — powiedz to pan klientom, nas to nie obchodzi. Co, radco Szabelski, jakże z tą fabryką pieniędzy?

— Otóż uważacie, żona moja, Natalcia, widząc jak ciężko pracuję i jak mi trudno o każdy grosz od klientów, wpadła na myśl, ażeby nas ten wyjazd do Grotowa nietylko nie kosztował, ale żeby jeszcze zrobić porządne pieniądze, — umilkł i czekał wrażenia.

Nie omylił się, wszyscy z należytą uwagą słuchali, albowiem Szabelski znany był jako solidny kupiec i przemysłowiec. Sprawdziwszy to zainteresowanie, napił się piwa ze świeżej bomby, odchrząknął i mówił:

— Zacna moja kobieta nie myśli, jak inne, próżnować i siedzieć z założonemi rękami, chce pracować, ażeby ulżyć mężowi i postanowiła wspólnie ze mną założyć... pensyonat w Grotowie! — poprawił okulary i tryumfująco spojrzał nietylko na siedzących przy stole, ale na całą salę, na wszystkich gości.

(Ciąg dalszy nastąpi).



Legiony polskie: Komisya poborowa bada ochotników.



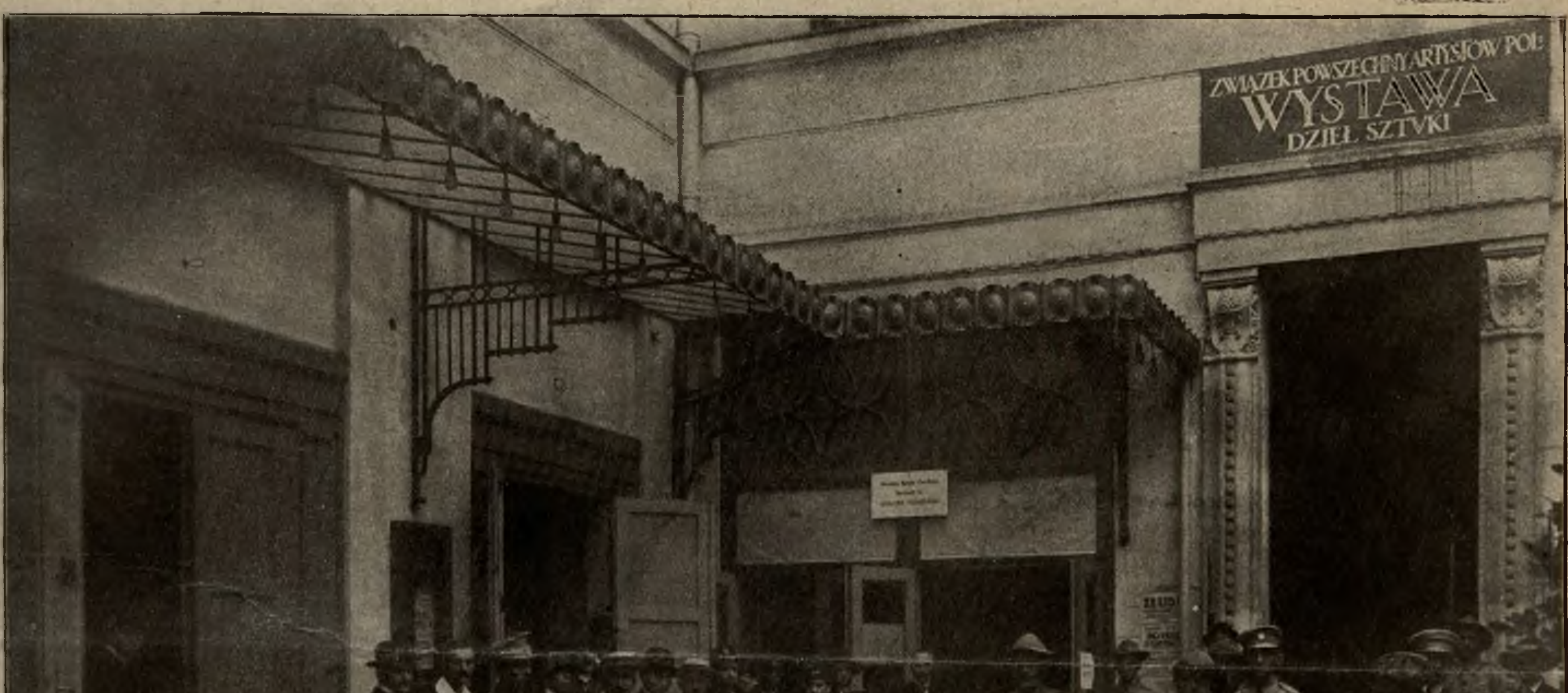
Legiony polskie: Brama Pałacu Spiskiego z wartą legionistów.

Legiony polskie.

Legiony polskie stały się ciałem. Marzenia tylu pokoleń ziściły się. Stanęły szeregi polskich żołnierzy — od tak dawna na ziemiach naszych niewidziane. Legiony te przypominają sławne nazwiska Dąbrowskich, Kniaziewiczów. Legiony „z ziemi włoskiej do polskiej“ dążące były ostatnim wysiłkiem orężnym Polski jeszcze na pół samodzielnej, choć już upadającej. Legiony dzisiejsze może będą pierwszym wielkim czynem rycerskim Polski nowej, odrodzonej w niepodległości.

Oto nareszcie pod skromnem imieniem „polskich kombatantów“ stanęła pierwsza nasza armia. A wystawił ją cały naród — wszystkie stronnictwa połączyły się, aby ją stworzyć. Do tego samego dążąc celu różnemi drogami — każda organizacya w Galicyi tworzyła zbrojne kadry. Mieszczaństwo w „Sokole“ zgrupowane miało swoje sokole drużyny polowe. Robotnicy i inteligencya, w partyach radykalno-socyalistycznych zgrupowani, tworzyli „Strzelców“. Żywioły radykalno - niepodległościowe szeregowały „Drużyny strzeleckie“. Po wsiach organizowały się „drużyny Bartoszowe“ i „podhalańskie“. Obecnie niema już tych działów — są tylko legioniści. Połączyły się różnej broni i różnych organizacyj szeregi pod wspólnym sztandarem.

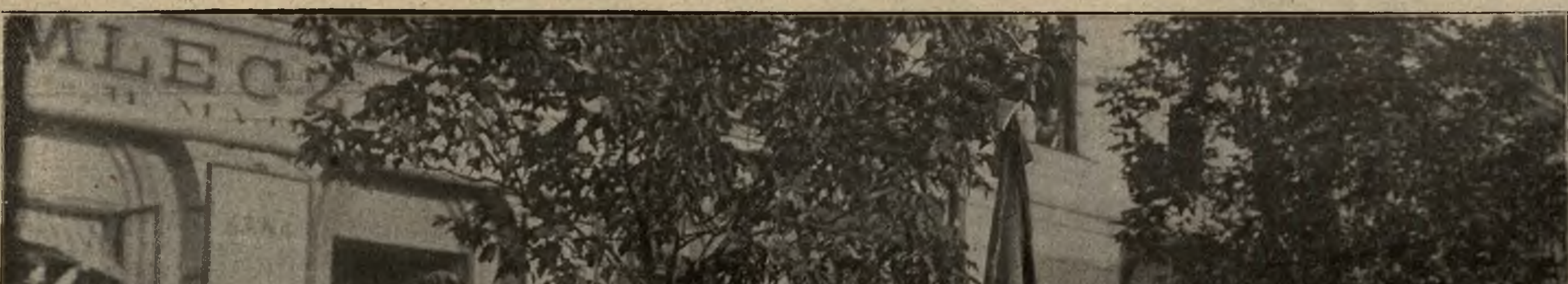
Obecnie cała praca nad formowaniem nowych szeregów toczy się wspólnie. A praca to wielce wytężona i wszechstronna. Czynią się zaciągi nowych ochotników, organizuje się prowiantura, inten-



Legiony polskie: Przed biurem werbunkowem, gdzie codzień tłumnie zgłaszają się ochotnicy z całej Polski.



Legiony polskie: Biuro werbunkowe.



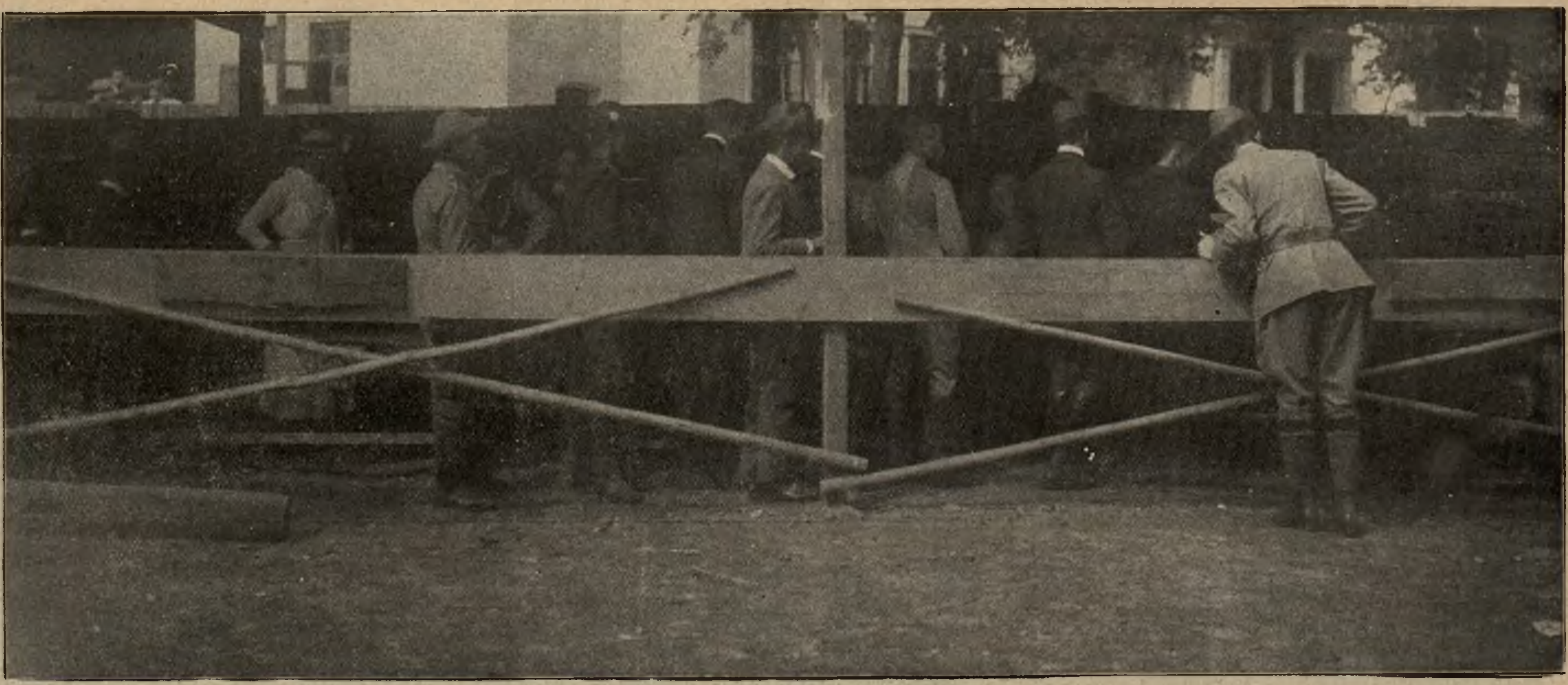
Legiony polskie; Wymarsz Sokołów podgórskich: prezes p. Wodzinowski żegna wyruszającą drużynę.



Legiony polskie: Radny miejski, powstaniec z 1863 r. p. Józef Stępień żegna odchodzących



Legiony polskie: Uroczystość zaprzysiężenia Sokołów podgórskich.



Legiony polskie: Wydawanie obiadów legionistom w Sokole krakowskim.

dantura legionów, ćwiczeni i łączeni są w kadry nowonapływający żołnierze — wreszcie, granity podkładając pod tęcze, komisye finansowe dążą do zapewnienia środków tej naszej armii. W każdym dziale dzień każdy przynosi czyn jakiś.

Do szeregów Legionu nie przyjmuje się bez wyboru. Oczywiście przebieranie to nie dotyczy pochodzenia czy stopnia wykształcenia — lecz zalet moralnych i fizycznych ochotników. Komisye lekarskie surowszym i dokładniejszym poddają zgłaszających się oględzinom, niż w armii rządowej. Wybierany jest tylko materyał pierwszorzędny i odpowiednio do uzdolnień sortowany. Każdy się może w Legionach przydać, kto chętny do pracy i służby publicznej — bo komu do szeregów walczących stan zdrowia stanąć nie pozwala, temu inną pracę znajdą i dadzą.

W gmachach, gdzie Legiony mają siedzibę swoich kierownictw — w Pałacu Spiskim, w budynku na ulicy Poselskiej, gdzie się „ministeryum wojny" i „finansowe" Legionów mieści — wre przez cały dzień życie. Tam się „żelazo na złoto" przekuwa, tam dla oddziałów przygotowywane jest zaopatrzenie w mundury, broń, amunicyę, żywność, tam napływają dary na wojsko polskie obfite — wielkie i małe, wszystkie zarówno cenne. Z wrót Pałacu Spiskiego zaś kilka razy dziennie wychodzi zastęp nowych, jeszcze nie umundurowanych legionistów i dąży przez ulice podwawelskiego grodu do parku po wystawie architektonicznej, gdzie kwatera jest żołnierzy Legionów. Lecą za nimi spojrzenia.

Nie tylko jednak stąd wychodzą szeregi. Dawne organizacye odrębne, jak n. p. „Sokół" funkcyonować nie przestały. W ich łonie bądź z dawnych członków, bądź z nowych tworzą się oddziały, które mają powiększyć kadry Legionów. Uczą się musztry, władania bronią, pierwsze zasady sztuki wojennej poznają, aby następnie już wyćwiczonymi żołnierzami stanąć do szeregów, idących w bój.

Sceny z uroczystości składania przysięgi przez członków „Sokoła" podgórskiego przed wyruszeniem na wojnę i z życia obozowego Sokołów, przedstawiają nasze illustracye.

Jeńcy rosyjscy w Galicyi.

Drugi już tydzień mija, jak ulice i dworce kolejowe naszych miast dziwny przedstawiają widok. Na każdym kroku spotykasz gromady jeńców rosyjskich, na wozach przewożą zdobycz wojenną, głównie karabiny, dzidy kozackie, szable i amunicyę.

Szczególniejszą uwagę poświęciła lwowska publiczność kuchniom polowym, źle jednak na tem



Legiony polskie: Kuchnia polowa na dziedzińcu sokolni krakowskiej.

wyszła, gdyż, jak donoszą korespondenci lwowscy, po odkryciu pokrywy kotła trzeba było zatykać nos i uciekać daleko, by się nie nabawić kataru... Można sobie wyobrazić, z jakim apetytem spożywali biedni sołdaci przygotowane w ten sposób dla nich pożywienie i nic też w tem dziwnego, że w niewolę austryacką szli z ochotą, pewni, że nieprzyjaciel obejdzie się z nimi bardziej po ludzku niż właśni przełożeni.

Zupełnie to samo opowiadają jeńcy o innych zapasach wojennych n. p. amunicyi, która pozostawiała bardzo wiele do życzenia: szrapnele po większej części nie eksplodowały, dlaczego, to już tajemnica rosyjskiej intendantury, nie cieszącej się wcale najlepszą sławą... Doszło do tego, że nazwanie kogoś intendantem uważane jest przez bardziej cywilizowanego Rosyanina za grubą obrazę honoru.

Ponieważ zaś ci właśnie pracowali głównie nad przygotowaniem obecnej wojny, nic też dziwnego, że na każdym kroku doznają porażek i zamiast maszerować naprzód, cofają się w tył. Po każdej potyczce patrole austryackie odprowadzają do obozu setki, a nawet tysiące jeńców, między nimi wielu jenerałów i wyższych oficerów.

O ile pojmani żołnierze rosyjscy są zdrowi, wysyła się ich w głąb monarchii, gdzie zostają internowani aż do ukończenia wojny. Chorych i rannych, a i takich jest wielu, umieszcza się w austryackich szpitalach wojskowych i poddaje leczeniu.

Przy tej sposobności warto wspomnieć, że i urządzenia sanitarne armii rosyjskiej są bardzo nędzne, pozostaje też daleko wtyle za austryackiemi.

Lwów, jako położony bliżej właściwego terenu walki, prawie codziennie ogląda transporty rosyjskich jeńców, prowadzonych jużto pieszo, już też wiezionych na podwodach; przez Kraków, prócz kilkudziesięciu rannych (przeważnie Polaków), którzy tu pozostali, przejeżdżają tylko pociągami, więc też nasza publiczności spotyka się z nimi rzadziej niż Lwowianie.

Na ogół widać, że żołnierz rosyjski jest bardzo dobrym materyałem i odpowiednio wyszkolony i bardziej po ludzku traktowany, byłby przeciwnikiem trudnym do pokonania. Tymczasem, dzięki zarządowi armii, jest do walki zupełnie zniechęconym, sam powiada, że nie wie, dlaczego każą mu się bić i czeka tylko pierwszej lepszej sposobności, by odrzucić karabin i oddać się w ręce zwycięzcy, o którym wie, że go będzie po ludzku traktował.

Do zniechęcenia żołnierzy przyczynił się także wydatnie cały szereg klęsk, jakie armia rosyjska ciągle ponosi, bo chyba zwycięstwami nie można nazywać palenia i plądrowania spokojnych wsi i miasteczek przez dzikich Kozaków, którym nie tyle chodzi o sławę rosyjskiego oręża, co o własną kieszeń.

Między jeńcami jest ich także spora liczba, tu i owdzie całe sotnie waz z oficerami składały broń i zdawały się na łaskę i niełaskę.

Warto zaznaczyć, że między jeńcami jest stosunkowo mało oficerów, jak bowiem opowiadają sami żołnierze rosyjscy, przełożeni ich w czasie walki kryją się na tyłach, nie chcąc narażać swego życia, naprzód wysuwają się tylko podczas ucieczki, a dają znać nogom ilekroć spostrzegą, że położenie groźne. Dotrzymuje miejsca tylko mniejszość, o pewnej moralnej wartości, przypłaca to jednak po większej części życiem lub utratą wolności.

Jak sami więźniowie opowiadają, władze austryackie, tak wojskowe, jak i cywilne obchodzą się z nimi bardzo uprzejmie, a już po prostu nie mają słów uznania dla naszych lekarzy i ich troskliwości z jaką zajęli się rannymi pozostawionymi na placu boju przez pierzchających w popłochu towarzyszów broni.

Dotychczas liczba jeńców dochodzi do dziesięciu tysięcy, zwiększa się przecież z dnia na dzień. Główny kontygent ich skierowano na Węgry, gdzie zapewne użyci będą do robót polnych, aby zastąpić tych, którzy poszli bronić granic kraju.



Informatorzy Krakowa: Redaktorzy c. k. biura korespondecyjnego przy pracy: (od strony lewej) pp. Nennel, (kierownik biura), Irzykowski, Kropaczek i Karcz.



Legiony polskie: Obiad legionistów w Sokole krakowskim.



Jeńcy rosyjscy w Galicyi: Wzięci do niewoli oficerowie i żołnierze rosyjscy we Lwowie.

Fot. M. Münz, Lwów.



Jeńcy rosyjscy w Galicyi: Ranni jeńcy wesoło znoszą swą dolę

Na teatrze wojny europejskiej.

Wypadki wojenne rozwijają się szybko. Wojna, jakiej nie bywało, wojna, w której miliony żołnierzy biorą udział, z niespodziewaną szybkością zmierza do rozstrzygnięcia.

Walka Francyi z Niemcami wyraźnie zarysowała już swój obrót. Belgia pokonana, zniszczona, rozgromiona leży już u stóp zwycięskiej niemieckiej armii. Potężne twierdze belgijskie — Liège, Namur, Huy — zostały zdobyte; cały szereg pięknych miast leży w gruzach; stolica królestwa Bruksela zajęta. Jedna tylko twierdza Antwerpii, ostatnie Belgów schronienie, najważniejszy ich port i obecna siedziba rządu, gorączkowo gotuje się do obrony przed szturmami niemieckiemi, które zapewne niebawem nastąpią.

Po zburzeniu zapory belgijskiej armie niemieckie z północnego wschodu runęły już na Francyę. Pobiły posiłkowy korpus angielski złączony z wojskami terytoryalnemi francuskiemi pod St. Quenten'n i są już zaledwie o 100 kilometrów od Paryża. Od wschodu zaś wojska niemieckie przekroczyły już granice Francyi i stoją pod samą linią obronną twierdz Tour-Verdun-Epinal. Nad Paryżem unosi się już blade widmo klęski i panuje przeczucie tragicznego losu, czekającego Francyę.



Bitwa pod Kraśnikiem: Przed bramami szpitali gromadzą się tłumy, aby zasięgnąć wiadomości o losie swych krewnych

Tak więc Niemcy kroczą od zwycięstwa do zwycięstwa, bo i na wschodzie pobili pięć korpusów rosyjskich, wziąwszy 70 tysięcy ludzi do niewoli. Tylko na morzu zanotować mogą pewne niepowodzenie — wysadzenie w powietrze na Bałtyku pod Rewlem krążownika „Magdeburg" i zatopienie przez flotę angielską trzech niemieckich krążowników koło Helgolandu.

Na terenie wojny austryacko-rosyjskiej zanotować także można szereg zwycięstw. Bitwa pod Kraśnikiem zakończyła się wzięciem do niewoli kilku tysięcy Rosyan; druga bitwa za Kraśnikiem, pod Niedrzwicą Dużą, jeszcze świetniejsze przyniosła naszej armii zdobycze. Rozpaczliwa dywersya Rosyan w kierunku od Zamościa zakończyła się ogromną dla nich klęską pod Tomaszowem — wzięciem do niewoli kilkunastu tysięcy rosyjskich żołnierzy, całego sztabu, zdobyciu wielu dział i sztandarów przez wojska austr. Wreszcie na wschód od Lwowa nasze wojska zwycięsko i wytrwale odpierają przeważające siły nieprzyjaciela, dla którego ta inwazya w głąb Galicyi wschodniej rychło zgubną okazać się może.

Na terenie wojny południowej, serbskim i czarnogórskim, panuje spokój.



Na teatrze wojny europejskiej: Sir Jan French, wódz armii angielskiej, posiłkującej Belgię.

Kronika tygodniowa.

Miesiąc minął od czasu, gdy wybuchła wojna europejska, której początek dała właściwie Rosya, bo gdyby nie ona i nie jej obietnice pomocy, Serbia nie byłaby się nigdy zdecydowała na sprzeciwienie się swej sąsiadce Austryi, i odrzucenie jej słusznych, choć może przykrych żądań.

Kto jednakowoż grzeszy, niech pamięta, że za każde przewinienie czeka kara, bo taki już jest zwyczajny porządek rzeczy. W tym wypadku nie pomoże nawet przemożna opieka matuszki-Rosyi, której polityki celem było zawsze osłabienie Austryi i jej wpływów na Bałkanie. Źle się jednak wybrała, przeznaczając do tej roli Serbię, która nawet na Bałkanie nie cieszy się wcale sympatyą, nie mówiąc już o reszcie Europy.

Jaki będzie koniec, dziś trudno przewidzieć, to jedno jest pewnem, że ani Serbia, ani przyjaciółka jej, Rosya, nie spodziewały się tego rodzaju rozwiązania, wobec tego do walki były nieprzygotowane. Jak dotąd, wiedzie się naszej armii wcale dobrze, walczy z ogromnym zapałem, wiedząc, że jest to może ostatnia sposobność złamania rosyjskiej przewagi w Europie, a całe społeczeństwo nie żałuje na ten cel bardzo wydatnych ofiar.

Nie mam zamiaru bawić się w żadne polityczne kombinacye, zostawiam je dla innych, lepiej odemnie znających się na tem, wstęp ten był mi jednak potrzebnym o tyle, iżby można nawiązać do tego właściwą rzecz, to jest uczony traktat o bajczarstwie Krakowian i nadobnych Krakowianek. Nie mam naturalnie na myśli tego codziennego, zwykłego bajczarstwa, ale owo wojenne, wywołane wyżej wspomnianymi wypadkami.

O pierwszeństwo walczą na tem polu obie płci, brzydka i piękna, ta druga ma informacye mniej pewne, ale zato daleko prędzej przedostające się do wiadomości ogółu. Taka stara panna, którą język świędzi i zmusza do ciągłego nim obracania, usłyszawszy coś, albo przeczytawszy, (ale tylko początek artykułu, bo na dokończenie nie ma czasu,) z chyżością, na jaką pozwalają jej cienkie nogi i eteryczna postać, idzie w zawody z najpierwszej marki automobilami i roznosi wieści między przyjaciółkami, czekającemi na nie, jak kania na deszcz.

Wobec tego, że tego rodzaju kuryerów w spódnicach jest pokaźna liczba, muszą się starać jedna przed drugą o ciekawsze wiadomości, fantazya więc pracuje, a roznoszone przez nie wieści przybierają coraz potworniejsze kształty. Na popołudniowych „kawciach" mówi się tylko o wojnie, o tysiącach jeńców i poległych, to samo powtarza się na plantacyach i ulicach, nawet w kościele jedna dewotka szepta drugiej:

— Słyszała kochana pani? Przywieźli do Krakowa pięć tysięcy Moskali!

— Co pani mówi!...

— Jak mi Boga przy śmierci potrzeba...

— A widziała pani?

— Widzieć, nie widziałam, opowiadała mi jednakowoż o tem panna Flora, a pani wie, że ust jej nie skalało dotąd nigdy kłamstwo!

— Ona zaś widziała?

— E... Jaki to z pani niewierny Tomasz!... Jeśli nie widziała, to z pewnością ktoś jej opowiadał...

Wiadomo zaś, jak to wieść rośnie i potwornieje w miarę tego, jak podają ją z ust do ust...

Niższe sfery polityką także na swą rękę. Miejscem zbornem są szyneczki (w większej liczbie już dzięki Bogu, otwarte!...) i podrzędne kawiarenki, także bramy domów, schody i ganki... W Krakowie panuje pod tym względem nieograniczona wolność aż do późnego wieczoru, w gorszem położeniu jest Lwów, gdzie ludzie o kamiennem sercu kazali zamykać bramy domów i szynki już o ósmej wieczór.

Ale trudno!... Jak wojna, to wojna!...

W knajpkach, przy pilznerku, którego nam nie brakuje, prowadzi się politykę na wielką skalę i bardziej realną, mężczyźni bowiem są bardziej *au courant* tajników militarnych i dyplomatycznych. W każdym lokalu umieszczono też mapę terenu walki, a na niej przy pomocy chorągiewek papierowych oznacza się pozycye armii wojujących. Mapa zawsze jest oblężona, czasem przychodzi przy niej do gwałtownych sprzeczek na temat, czy n. p. Odessa leży nad morzem Bałtyckiem, czy nad Czarnem.

Skonstatowałem na ogół, że nasi domorośli strategicy z geografią są na bakier. Niedawno dopiero zapewniał mnie jeden, że Kijów leży na granicy Austryi i Rosyi, Nowosielicy zaś szukał koniecznie gdzieś na stokach Uralu...

W każdym razie wiadomości, jakie rozchodzą się z knajpek są wiarygodniejsze, bo oparte na pewniejszych danych, aniżeli te, które roznosi poczta spódniczkowa.

Proszę jednak nie myśleć, że politykują dziś tylko starzy, wojna zajmuje także i młodzież obojga płci.

Kilka dni temu zdarzyło mi się spotkać w jednym z krakowskich lokali ojca ze synkiem, liczącym coś około cztery lata żywota. Wracali z plantacyi, skąd przypatrywali się transportowi rannych jeńców rosyjskich.

Gorąco było, jak się patrzy, tatko więc musiał odwilżyć gardło i zabrał ze sobą swą pociechę. W handelku trzeba chłopcu dać coś zjeść, naturalnie takiego, by to zbyt nie obciążyło budżetu papy... Teraz zresztą w modzie są moskale, które podobno od czasu bitwy pod Kraśnikiem nieco potaniały.

— Hm! A możebyś tak smarkaczu coś przetrącił? — pyta rodziciel. — Może moskala!

— A co to są moskale? — pyta malec.

Na to ojciec bierze na widelec z talerza jeden okaz i pokazuje go chłopcu; ten zaś na to:

— Co to za moskal, co głowy nie ma! A może mu ucięli pod Kraśnikiem?... Ja chcę takiego, co ma głowę!

Dowód najlepszy, że i chłopak, choć dopiero czteroletni, wiedział już o Kraśniku i że tam ucinają Moskalom głowy. Ja dotąd byłem przekonany, że robi to pan Warhanek w Mszanie dolnej, gdzie ma swą krajową fabrykę prawdziwych wiedeńskich moskali.

Ale trudno!... Jak wojna, to wojna!... Niech i młode pokolenie zaprawia się do służby publicznej.

Zresztą, powiedział Ben Akiba, czy inny jakiś pobożny Izraelita, że wszystko już było na świecie, więc i malcy musieli się nieraz już brać do polityki.

Gdybym jednak znał był owego pana Ben Akibę, powiedziałbym mu, że był w błędzie, głosząc powyżej przytoczone zdanie, a na dowód przytoczyłbym mu ogłoszenie z urzędowej części *Gazety Lwowskiej,* z którego dowie się, że c. k. Sąd obwodowy jako handlowy w Stanisławowie, oddział drugi, z daty 13. czerwca 1914 do L. cz. Firm, 593. zezwala obywatelom buczackim: Izakowi Frenklowi i Lejzorowi Müllerowi na zaprotokołowanie firmy, mającej się zająć eksportowym handlem nierogacizną!

Czy słyszał Ben Akiba o czemś podobnem. Jestem pewny, że nie! Żaden dotąd z jego współwyznawców nie brał się ze względów religijnych do handlu temi nieczystemi stworzeniami, a przynajmniej głośno się do tego nie przyznawał, początek wreszcie zrobili pp. Frenkel i Müller.

Tak przynajmniej mi się zdaje, studyuję zaś bardzo pilnie wielkie ogłoszenia w *Gazecie Lwowskiej,* często bowiem można napotkać tam coś wesołego.

Będziemy więc obecnie mieli nierogaciznę koszerną (od żydowskich eksporterów) i trefną (jakiej dostarczą nam katoliccy handlarze). Czy będzie różnica w cenie i jakości, każdy sam się z czasem przekona.

Z tego samego numeru urzędowego organu, dowiedziałem się także, iż w depozycie c. k. Sądu powiatowego w Birczy zalegają od lat trzydziestu między innemi nie podjęte dotąd kwoty n. p. z masy ś. p. Krokowskiego jeden (mówię: jeden!) halerz, z „niewiadomej masy", więcej nieco, bo aż sześćdziesiąt sześć halerzy.

C. k. Sąd wzywa właścicieli owych depozytów, aby w przeciągu roku, sześciu miesięcy i trzech dni prawa swe do nich zgłosili i je podjęli, gdyż w przeciwnym razie funduszowi przepadłości przyznane i wydane będą.

Jest to także pewien rodzaj humorystyki urzędowej, jestem bowiem pewnym, że ś. p. Krokowski, jeśli przez lat trzydzieści po owego halerza się nie zgłosił, z pewnością i teraz wezwania nie usłucha, zwłaszcza, że musiałby jeszcze zapłacić należytość depozytową. Wątpię więc, czy pokuszą się o to nawet i jego spadkobiercy.

Zupełnie to samo da się powiedzieć i o „masie niewiadomej", któraż bowiem ma się zgłosić, skoro komunikat urzędowy nic wyraźnego o tem nie powiada?...

W wojennym czasie, gdy humorystyczne pisma po większej części zawiesiły swe wydawnictwa, dobrą jest bodaj i ta humorystyka urzędowa, zostająca stale pod wezwaniem św. Biurokracego i nie zmieniająca się nawet i w czasie wojennym.

Skoro od wojny odbiegłem, na zakończenie muszę do niej przecież powrócić, by uronić łzę nad księciem Monaco i mbretem albańskim, Wiedem. Z ręką na sercu przyznaję, że co do pierwszego pomyliłem się grubo, na nic bowiem nie przydało mu się ogłoszenie neutralności, skoro Francuzi sromotnie przepędzili go z kraju.. Natomiast książę Wied, o ile dochodzą mnie nieskonfiskowane wiadomości, definitywnie już wyjeżdża z niewdzięcznego kraju i zaciąga się w szeregi pruskie, gdzie mu i wygodniej i bezpieczniej. Telegramy polityczne donoszą, że „do trudności natury politycznej przyłączyły się i finansowe"... a wiadomo, że w takim wypadku nie tylko książę Wied, ale newet sam błogosławionej pamięci król Salomon, nie dałby rady!

Wszak i zwykłemu śmiertelnikowi tak ciężko przy końcu miesiąca, a cóż dopiero księciu!...

PLANETA ZGROZY.

Tłum. MARYA SEGENY.

15

Aerophyty.

Przy każdym moim ruchu, wibrujące koło mnie aerophyty odstępowały odemnie, by powrócić w większej jeszcze ilości i sile. Czułem nad głową ciężar nieznośny i wkrótce byłem tak ze wszech stron skrępowany, że nie mogłem uczynić żadnego poruszenia. Byłem zrozpaczony; z trudnością ustami chwytałem zgęszczone powietrze, przesycone dziwnym zapachem wydzielającym się z roślin. Był to zapach piżma, złączony z mdłą wonią świeżego mięsa, wprawiający mnie w odrętwienie i senność.

Przeczuwałem, że wchłanianie go przez czas dłuższy wywołać może śmiertelne oznaki zatrucia, tak, jak zapach tuberozy i jaśminów w zamkniętym pokoju.

Wkrótce ogarnęły mnie zupełne ciemności tak, że straciłem możność dalszego oryentowania się. Starając się pomimo wszystko posuwać naprzód, nie wiedziałem, czy zagłębiam się jeszcze bardziej w to nadpowietrzne trzęsawisko, czy też cofam się ku wolnej przestrzeni.

I przekonałem się wówczas, że energia, doświadczenie i rozum nie zdatne są na nic, wobec takiego fenomenu natury.

Nie miałem już sił do dalszej walki; wtedy mi przyszła myśl, że szamotaniem się pogarszam sytuacyę, że te rośliny elastyczne, odbijane jak piłki mojemi ramionami, rozstąpią się same przez się, gdy nieruchomo stać będę. Ale pomyliłem się; nieruchomość moja wywołała tylko silniejszy ich napływ, obległy mnie uporczywiej jeszcze, zielona ich sieć zacieśniała się coraz rozpaczliwiej nademną.

Raz jeszcze próbowałem się bronić, ale potknąłem się o kamień i upadłem, pewny, że już więcej nie powstanę. Gdy ostatnim wysiłkiem wyprężyłem się i stanąłem na nogach, dobiegł mnie znowu głos mojej małej przyjaciółki.

— Robercie! Robercie!

Głos jej był daleki, jak gdyby zduszony: poznałem, że oddaliłem się jeszcze od niej. Wściekłość mnie ogarnęła. Schyliłem głowę i uderzyłem rozpaczliwie w gąszcz elastyczny. W zaciśniętych palcach niszczyłem garście roślin, deptałem je nogami, rozrywałem i zaledwie zdołałem wielkim trudem wyrobić sobie niewielki, wolny otwór, który zaraz po chwili zasklepił się z powrotem.

Zdenerwowanie moje wzrastało podniecone upornym zapachem, który jak niezdrowy opar padał na moje wzburzone zmysły. Przypominam sobie, że w napadzie nieobliczalnego szału rzuciłem się jak wściekły i gryzłem te szatańskie rośliny.

Nagle nogą potknąłem się o leżące ciało.

Pochyliłem się z bolesnem przeczuciem, sądząc, że to ciało mojej małej Eeoys. Pomyliłem się jednak, po brodzie, jaką napotkałem palcami poznałem, że to jeden z Marsianów, należący do mojej eskorty.

Położyłem rękę na jego piersiach; serce nie biło już, a członki choć ciepłe jeszcze, były zesztywniałe; wkończu palce moje dotknęły jakiejś cieczy lepkiej, musiała to być krew. Równocześnie uczułem w nodze wrażenie piekącego bolu, jakgdyby sparzenia.

Naszedłem na jedną z urn, zawierającą węgle rozżarzone, a którą biedak upuścił z rąk, upadając.

Nie traciłem czasu na badanie, w jaki sposób został zabity i co było przyczyną tej śmierci, skoro ja jeszcze żyłem; pochwyciłem drżącą ręką obręcz urny, przepełniony nagle uczuciem wielkiej radości, gdyż ujrzałem niespodziewanie sposób wybawienia się z niebezpieczeństwa.

Po omacku, nie zwracając uwagi na liczne oparzenia, pozbierałem węgle, które potoczyły się na ziemię i zacząłem je lekko rozżarzać, usuwać z nich ostrożnie warstwę nagromadzonego popiołu. Po chwili już wzniósł się z urny słaby, niebieskawy płomyk. Rzuciłem wówczas na węgle parę aerophytów i z przyjemnością widziałem, jak kręciły się dotknięte ogniem, który rozdmuchiwałem bezustannie. Gdy te pierwsze zostały spalone, dorzuciłem ich więcej, aż wzniósł się w górę wąski kłąb gęstego, białego dymu.

Dym mnie dusił nieznośnie i utrudniał oryentowanie, ale pomimo to cieszyłem się, że osiągnąłem cel upragniony.

Dotknięte gryzącym oparem aerophyty wznosiły się szybko w górę. Nie ustawałem w pracy. Poruszając na wszystkie strony dobroczynnem zarzewiem, wkrótce wywalczyłem sobie wolną przestrzeń, nad którą ujrzałem skrawek szafirowego nieba.

Byłem oszołomiony radością i tak zadowolony z tej dobrej myśli, jakdybym uczynił odkrycie wielkiej wagi. Byłem już pewny uratowania mojej małej przyjaciółki, a może i wszystkich Marsianów.

Rzuciłem się żywo naprzód, rozpraszając resztę wibrujących roślin na około mnie. Miałem wrażenie, że znajduję się jesienią wśród lasu na wielkim wietrze, porywającym z wściekłością ostatnie pożółkłe liście.

Ale nagle zawróciłem z drogi, dotknięty wyrzutami sumienia, że natychmiast nie pospieszyłem mu z ostateczną pomocą biednemu Marsianinowi, któremu przecież winien byłem to nieoczekiwane wybawienie.

Odnalazłem go z łatwością; był już prawie zimny i starania moje około przywrócenia mu życia okazały się bezskuteczne, ale przeraził mnie niemało widok jego pokrwawionego ciała i odkrycie przy uchu znaku, które zazwyczaj pozostawiali po sobie Erlooisy na pokonanych ofiarach.

W tej części opowiadania Roberta Darvela, Ralf Pitcher i lord Frymcook wymienili porozumiewawcze spojrzenia, poczem kuchmistrz mimowoli spojrzał na swoją pokaleczoną rękę.

Robert Darvel jednak mówił dalej, nie zauważywszy tego epizodu, który nie uszedł przenikliwej uwagi miss Alberty.

— Cała radość moja rozwiała się w jednej chwili. Nie było Erlooisów obok nas, więc jakimże innym potworom mogłem przypisać ten wypadek? I czyżby one kryły się tu, pod mojemi oczami, w gęstej trawie, niewidzialni dla mnie? Wiec znowu walczyć musiałem, po tylu przejściach, z nieznanem, nowem niebezpieczeństwem?

Wątpliwości te zaniepokoiły mnie i raz jeszcze odebrały odzyskaną energię i przytomność umysłu.

I nagle poczułem lodowate zimno, rozbiegające się po całem mojem ciele, charakterystyczna oznaka najwyższej, śmiertelnej trwogi, której poddawać się nie było mi wolno, skoro z tego przeklętego miejsca ujść pragnąłem z życiem.

Starałem się oprzytomnieć; urnę moją zasiliłem świeżym zapasem roślin i ruszyłem naprzód, nie śmiejąc się odwracać, w przekonaniu, że mogę ujrzeć za sobą wstrętną głowę jakiegoś potwora, śledzącego mnie z gąszcza zieleności. Pomimo jednak, że szedłem dosyć szybko, zdawało mi się, że nie ubywa mi drogi. Wąski przesmyk wywołany kłębami dymu, którym się otaczałem, zasklepiał się natychmiast po mojem przejściu — a drżąca i niepokonana ściana zieloności zdawała się rozciągać bez końca. Paniczny lęk mnie ogarnął; dwukrotnie spaliłem sobie suknie pierzastą, sam nie wiedząc kiedy. — Ach! mόdz wyjść nareszcie z tego oceanu żyjących liści!... Sądziłem już, że nie wybrnę z niego nigdy!

Twarz opowiadającego zbladła nagle, a po jego wychudłem ciele przesunął dreszcz przerażenia, jakgdyby był jeszcze pod wrażeniem tych przejść okropnych. Po dłuższej chwili wypoczynku podjął opowiadanie z widocznym trudem:

— „A jednak i tę przeszkodę w końcu pokonałem. Niespodziewanie, w chwili, kiedy najmniej na to liczyłem, znalazłem się na wielkiej, wolnej przestrzeni. Przed oczami mojemi rozciągał się horyzont niczem nie przysłonięty. Wdychałem z rozkoszą ożywcze czyste powietrze, podczas gdy za mną lawina aerophytów zamykała się powoli z szumem jak fale morskie, po przepuszczeniu okrętu. Kilka minut stałem oszołomiony tem nagłem zwycięstwem, które przypisać w części mogłem tylko przypadkowi, bo przypomniałem sobie, że kilkakrotnie zmieniałem kierunek, szukając wyjścia i mogłem również z dobrym skutkiem błądzić tak kilka godzin, lub nawet kilka dni w tej puszczy wibrujących aerophytów.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Wydawca i wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego. Odpow. redaktor: M. Lipińska. Klisze własnego zakładu. Drukarnia D. E. Friedleina w Krakowie, pod zarządem Pawła Madejskiego.